NUMER 31. DNIA 31. LIPCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z pamiętników Wincentego Pola.

OBRAZKI LITEWSKIE.

(Ciąg dalszy.)

Była to niedziela, a że zaścianek nie miał własnego kościółka przybył z ewangeliczką chłopaczek, tą samą drogą, którąśmy nocą przybyli, zrywając mosty, przeszedł po belkach zerwanych mostów, by odczytać ewangelję tym, co dziś w kościele nie będą.

Z zadziwieniem spojrzeliśmy na tego chłopczyka, który miał może lat 13, był czysto, ubogo lecz po świątecznemu ubrany, z ewangeliczką w ręku, przeszedł spokojnie zbrojne obozy, by ponieść słowo Boże bliźnim.

Wiedziałem o instytucie lektorów w kościele, ale to, żeby dziecię głosiło słowo Boże w niewinności serca i żeby lektorami były niedorosłe pacholęta, o tem nie słyszałem nigdy i dziwnie wzruszył mnie widok tego chłopczyka, który nawet wśród wrzawy wojennej nie ustawał w służbie swojej, ale od wsi do wsi idąc odczytywał ludziom ewangelję. Mieszkańcy całego zaścianka obstąpili go dokoła, a on, pozdrowiwszy wszystkich, pokłonił się wszystkim z pokorą, zdjął z siebie torbę, w której znać cały swój dobytek nosił, złożył ją obok laski i kapelusza, wyjął z niej flaszeczkę z wodą święconą, dobył czarkę i kropidełko i obszedł wszystkich dokoła, podając wodę święconą. Poważna cisza zawładnęła całem zgromadzeniem. Chłopaczek wstąpił na wysoką kłodę, która w dziedzińcu leżała, a głosem donośnym i powolnym odczytał na idącą niedzielę ewangelję, epistołę i naukę, jaką kościół daje, następnie odmówił z całem zgromadzeniem pospołu litanję do Najświętszej Panny i odśpiewał suplikacje: „Święty Boże!“ etc. Na tem skończyło się nabożeństwo lektora. Starsze niewiasty głaskały chłopczynę, kiedy zeszedł z kłody i wypytywały się (chłopczynę) z obawą, jak się przez moskiewski obóz przebrał? Zadziwiony mówił, że tylko trzech Moskali zabitych widział na grobli, czwarty konał, gdy nadszedł do niego, podał mu tedy wody święconej i odmówił nad nim modlitwy za konających, jakoż nie odszedł od niego, póki nie skonał i prosił ludzi, aby tych zabitych zebrać z grobli i pochować.

Dziwne wrażenie zrobił widok tego dziecka na nas wszystkich, naszych wiarusach, zdało się, że aniołek pokoju zstąpił na ziemię, bo chłopczyna nawet nie pojmował tego, co się w około niego działo, bezpieczny w Bogu, z święconą wodą i ewangeliczką w ręku przeszedł obozy i przybył tu posilić słowem Bożem ludzi pokoju i pracy w dniu niedzielnym.

Gdzie wiara i obyczaje takie puściły korzenie i takie wydały owoce, że Bóg już usta niewinnego dziecka obiera za narzędzie swoje, tam może wydać kościół męczenników, ale nie wyda odstępców i wszelkie prześladowania religijne rozbiją się tam o Bożą mękę i o Boże prawdy.

Kiedy już chłopczynę wzięły niewiasty między siebie, niosąc mu torbę, kapelusz słomiany i laskę, i prowadząc na gościnę, przystąpił stary wachmistrz do porucznika Lubomirskiego i prosił, aby kazał stanąć do apelu. — „A na co? zapytał porucznik, wszak pono proszono już nas do obiadu“. — „Proszę pana porucznika, rzekł wachmistrz, jużciż i my pono nie gorsi i nam zdałoby się wysłuchać ewangelji, jakoś tu się pięknie modlą ludzie, to niechże wiedzą, że

i ułani katolicy, zaprosimy tego chłopczyka, żeby przed plutonem odczytał ewangelję“.

Przed dworkiem tedy stanęły szeregi, chłopczyka zaproszono na ganek i osobliwy był to widok, porucznik komenderował do dobycia pałaszy, chłopaczek podał mu wodę święconą, potem obszedł z nią szeregi, które się rozstąpiły, aby miał wolne przejście i każdy żołnierz przekładał broń w lewą rękę, aby sięgnąć do kropidła i wody święconej i położyć na sobie znak krzyża. Biedna chłopczyna pobladła zrazu, drżał głos jego, gdy stanąwszy na kilku stopniach w ganku począł czytać, ale następnie ośmielił się i czytał głośno i poważnie dla żołnierzy ewangelję.

Nikt nie czuje dotykalniej ręki Opatrzności Boskiej nad żołnierza w boju, który co chwila śmierci w oczy patrzeć musi. Łzy płynęły po wąsach wiarusów, którym nie wolno było otrzeć tych łez, bo stali w szeregu; a kiedy odstąpili z szeregu byli bardzo wszyscy zbudowani nabożeństwem tego dziecka. Stary wachmistrz wziął chłopczyka na ręce, zaniósł go do swego konia i posadził w siodle; następnie zrobili składkę ułani, i złożyli chłopcu kilkanaście złotych, dając mu z nich połowę i żądając po nim, aby za drugą połowę mszę uprosił w najbliższym kościele na intencję ojczyzny i walczącej wiary. Scena ta połączyła silniej nowymi węzłami mieszkańców zaścianka, z przybyłymi gośćmi. A przed stołem odmówił chłopaczek modlitwę, „który pod ewangeliką chodził“ (tak bowiem nazywają na Litwie tych małych lektorów).

Dobrze już było z południa, gdyśmy w dalszy ruszyli marsz, — przez wielkie odkryte rojsty, które ciemne okrążały bory, dostaliśmy się na suchszy poziom i powróciliśmy jeszcze przed wieczorem do obozu, gdzie nasza stała brygada.

Tu był kościołek i proboszcz. Zostając jeszcze pod wpływem owego chłopaczka, który pod ewangeliczką chodząc, nosił słowo Boże po świecie — rozgadałem się z księdzem proboszczem i dowiedziałem się o nieznanych mi dotąd praktykach religijnych. „Któż ma być sierocie opieką, jak nie Bóg i Kościół, mówił nam ksiądz proboszcz — niema tedy prawie wikarji i plebanji, gdzieby się nie chowała sierota, a w klasztorach miewają starsi zakonnicy chłopaków do posługi; przy księdzu i kościele nauczy się chłopak powoli czytać i pisać, służyć do mszy i przemawiać do ludzi obyczajnie, a jak idzie na rękę, to też uczy się go czegoś więcej, i wyprawia go się z ewangeliczką do wsi i zaścianków, w których kościoła niema. Czuwamy nad tem, aby się chłopiec nie popsuł i nie nabrał chciwości, i znamy już tych chłopaczków, którym można pozwolić odczytanie ewangelji dla ludu. Cztery do pięciu lat chodzi taki chłopczyna po świecie, ale trzyma się zawsze tylko dwóch lub trzech parafji, i niewiasty dają mu po garści lnu, gospodarze po miareczce żyta, krup lub grochu; — wszędzie znajdzie się jakaś miłosierna gospodyni, co go przytuli i ogarnie; — ta mu wyprzędzie lnu, a ta uszyje lub wypierze koszulę; tam mu darują skórkę z barana albo kupią buty na odpuście, a zboże lub prowiant w ziarnie odsyłają mu do organisty miejscowego. To też łatwiej mu się wyżywić i nie jest nikomu ciężarem, bo z ewangeliczką chodząc, zarobi już sam na siebie, i uzbiera sobie nawet jakiś grosz przez lat parę, że może już potem pójść do szkoły, lub pod opiekę księdza biskupa naszego w Worniach. Wielu księży dzisiejszych chodziło niegdyś z ewangeliczką, a jak Bóg da statek i łaskę swoją, wychodzą takie sieroty na ludzi. Uczymy ich śpiewać pieśni i w czasie adwentu śpiewają z ludźmi pospołu pieśni adwentowe; potem obnoszą opłatki i śpiewają kolendy, — w czasie wielkiego postu gorzkie żale, a tak to szerzy się między ludem wiernym i chwała Boska i język polski. Plebani i organiści kierują tymi chłopaczkami, i mają oko na ich zachowanie się i postępki, a lud prosty widzi przecie, że lepiej można Pana Boga chwalić, umiejąc czytać i pisać i bierze stąd zachętę dla siebie.

„Mało mamy szkół wiejskich, a przecież w każdym kościołku modli się część ludzi na książeczkach, bo wypada radzić na nasze ubóstwo jak można“.

Jeżeli mnie do głębi wzruszyła owa scena w zaścianku, to zbudowały nas bardzo te słowa prostego plebana, bo dały nam wejrzyć w poczciwe gospodarstwo duchownych przewodników ludu.

Stary nasz wachmistrz wspominał jeszcze nieraz w ciągu kampanji o owym chłopaczku z ewangeliczką i powiadał: „Na mój rozum, toby przy każdym szwadronie takiego chłopaczka z ewangeliczką chować trzeba, ubrać go porządnie i niechby na małym koniku z ewangeliczką jeździł przy trębaczu.“

(C. d. n.)

Sprawa Józefa Kapuścińskiego.

Krwawa burza, która przeleciała nad zachodnią Galicją w r. 1846, niszcząc wszystko po drodze, ściągnęła karę śmierci, ze strony rządu austrjackiego na trzech ludzi.

Tymi trzema ludźmi byli: ks. Kmietowicz z Chochołowa, Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński. Pierwszy tylko z nich zdołał uniknąć śmierci, a to głównie dzięki zachowaniu się biskupów, którzy nie pozwolili zdjąć z niego święceń kapłańskich.

Losy ks. Kmietowicza są opisane w książce p. Radzikowskiego, czyny Teofila Wiśniowskiego znalazły biografa w Schnürze-Pepłowskim, sprawa jedynie trzeciego skazanego, na którym wyrok wykonano, tj. Józefa Kapuścińskiego jest jeszcze niedość wyświetloną. Zamierzam przeto dorzucić parę szczegółów, opierając się na aktach śledczych, których jest aż 3 foljały w archiwum krajowem aktów grodzkich.

Gdy po upadku powstania listopadowego i po wyprawie w r. 1833 Zaliwskiego do Królestwa, poznano na emigracji, że Królestwo nie może być jedynym terenem walki, postanowiono w łonie Towarzystwa Demokratycznego, którego głównym celem była niepodległość Polski, wciągnąć do roboty przygotowawczej dwa inne zabory, które dotąd nieznaczny tylko brały udział w walce.

Praca ta przygotowawcza polegała na utworzeniu całego szeregu związków tajnych, któreby po latach miały tworzyć kadry przyszłej armji polskiej.

Rzeczywiście przez emisarjuszów zawiązano stosunki z Poznańskiem i Galicją, ta ostatnia zaś chcąc niejako wynagrodzić swą nieczynność w latach poprzednich, pokryła się całą siecią tajnych stowarzyszeń o różnych nazwach.

Ta epoka tajnych związków i spisków trwała kilkanaście lat, bo aż do r. 1846.

Wreszcie postanowiono działać powstańczo, wiedziano bowiem, że napięcie, w jakiem się kraj znajdował, musi ustąpić. Ta dążność do czynu silnie zaakcentowała się, gdy w skład centralizacji wszedł Mierosławski i gdy został mianowanym naczelnym dowódcą sił zbrojnych w Poznańskiem.

Ruch zbrojny, do jakiego miano teraz dać hasło, polegał na tem, że w jednym dniu wybuchnie powstanie w Poznańskiem i Galicji, zbrojne siły miały uderzyć na miasta powiatowe, załogi rozbroić i stąd wyruszyć ku Królestwu, gdzie miano dalszą walkę prowadzić. Plan więc był bardzo ryzykowny: rozpoczynano walkę aż z trzema mocarstwami.

Dla dokładnego omówienia planu zgromadzali się kilkakrotnie kierownicy powstania w Krakowie, gdzie też datę powstania naznaczono na dzień 21 lutego, data ta jednakże została przesuniętą, z powodu aresztowań, o kilka dni wcześniej, bo na noc z 18. na 19. luty. Powstanie zaś miało rozpocząć się uderzeniem na Tarnów.

Do cyrkułu tarnowskiego należało także i miasteczko Pilzno. W tej miejscowości również było kilku związkowych. Najruchliwszymi z pomiędzy nich byli: Bełdowski, miejscowy nauczyciel i przyjaciel jego a zarazem i domownik Józef Kapuściński, urodzony 18. kwietnia 1818. Pochodził on z mieszczan gorlickich; z trzech jego braci, jeden Juljan był słuchaczem akademji górniczej, Roman uczęszczał do gimnazjum w Rzeszowie, a Jan był praktykantem magistratu gorlickiego.

Józef szkoły normalne ukończył w Jaśle, do gimnazjum chodził w Sączu, lecz ukończył tylko sześć klas, w lipcu bowiem 1838 r. został aresztowany za czytanie zakazanych książek. W śledztwie przesiedział 6 miesięcy w więzieniu gorlickiem, co mu też policzono za karę, przez co jednak wstęp do gimnazjum miał wzbroniony.

W r. 1839 dostał się na praktykanta magistratu w Gorlicach, a 15. stycznia 1842 został przeniesiony już jako kancelista do magistratu pilzneńskiego.

Będąc już raz wmieszanym w sprawy polityczne i przebywszy półroczne więzienie, nie zaprzestał i teraz na tem stanowisku w tym kierunku działać z tą zmianą, że postępował z nadzwyczajną ostrożnością.

Raz tylko burmistrz pilzneński Kasper Markel przedsięwziął u niego rewizję. Było to z początkiem lutego 1846 na skutek denuncjacji z 29. stycznia 1846. Według niej bowiem miał ścigany Goslar przyjechać i bawić przez święta Bożego Narodzenia u jednego ze swoich znajomych, który był ścisłym przyjacielem Kapuścińskiego, a wobec tego starano się i na niego ściągnąć podejrzenie ukrywania Goslara.

Markel jednak, który go już od chwili przyjazdu do Pilzna śledził jako raz już karanego, teraz odbywszy rewizję, nic nie znalazł podejrzanego, o czem zdał sprawę w raporcie do Tarnowa z 6. lutego 1846. Owszem podniósł nawet nienaganne postępowanie.

Powód tej rewizji Kapuściński inaczej sobie tłumaczył, sądził bowiem, że jest ona następstwem współudziału jego w zabawie, urządzonej przez jednego z mieszczan gorlickich w tym czasie, a na

której jeden z obecnych, Krasuski, dzierżawca dóbr Zwiernik, miał śpiewać pieśni patrjotyczne, albo też, że się wykrył w jakiś sposób jego udział w zmowach, przygotowujących powstanie.

Rzeczywiście bowiem od nowego roku 46-go, poczęli się miejscowi związkowi częściej naradzać. Liczba ich była niewielka, bo zaledwie 4, a w skład ich wchodzili dwaj wspomniani już: Bełdowski i Kapuściński, a nadto Metody Janikowski, mieszczanin miejscowy, u którego się zwykle zgromadzali od czasu do czasu i Gabrjel Danielewicz, ekspedytor pocztowy.

Na naradach i przygotowaniach przedwstępnych, jak lanie kul, ostrzenie pałaszy, schodził im czas do 18. lutego. Musiano też porozumiewać się z innymi związkowymi, którzy mieszkali przeważnie jako oficjaliści w okolicy.

Tak nadszedł pamiętny wieczór 18. lutego.

O wybuchnąć mającem powstaniu, jakoteż o sposobach działania, zawiadomił ich zapewne Józef Siekirski, ekonom z Dęborzyna, który wieczorem przybył do Pilzna, poszedł do Kapuścińskiego, Bełdowskiego i Janikowskiego, a wziąwszy od tego ostatniego konia, wierzchem pojechał do odległego o ćwierć mili Pilzniątka, gdzie prawie równocześnie przybyli z Wygody, odległej około $^3/_4$ mili od Pilzna, dwaj bracia Eustachy i Leon Szumańscy, obaj zatrudnieni w gorzelni tamtejszej Tytusa hr. Bobrowskiego, Szymon Górecki, pisarz z Łęk dolnych i Antoni Romański. Z Pilzniątka, po dłuższej naradzie, wyruszyli przez Pilzno do Dęborzyna, gdzie ich już Siekirski uprzedził i tu ich przyjął. Dęborzyn bowiem był punktem zbornym dla okolicznych związkowych.

Dotąd najczynniejszym był Siekirski, uwiadamiając o wybuchu.

Po dziesiątej wyruszyli związkowi w liczbie pięciu do Pilzna i odtąd zaczyna się właściwa działalność Kapuścińskiego.

Przybysze zatrzymali się w domu, w którym mieszkał Kapuściński, stąd zaś z nim udali się na pocztę, gdzie Kapuściński zażądał od przestraszonego tym nocnym napadem pocztmistrza Pawliczka, dwu sań czterokonnych, na co ten się zaraz zgodził. Mając sanie w swych rękach, pozostawili kilku przy nich na straży, Kapuściński zaś poszedł z Szymonem Góreckim, Józefem Siekirskim i Leonem Szumańskim do domu burmistrza Markla.

Burmistrz pilzneński Kasper Markel, urzędnik, jak głoszą akta sądowe, bardzo przychylny rządowi, prowadził na wielką skalę, zapatrując się w tem na swego przełożonego Breinla, system denuncjacji i podburzania chłopów przeciw szlachcie i wogóle surdutowcom. I tego wieczora przybył do niego jeden chłop ze wsi Gorzejowa, z doniesieniem, że jakiś pan się ukrywa u nich we dworze, a wkrótce potem znowu przybyło dwu chłopów z Borowej, opowiadając o trzech furach panów, którzy uciekali przez ich wieś, ścigani przez chłopów z Wiewiórki.

Po spisaniu z nimi protokołu, pan burmistrz udał się na spoczynek, gdy wtem około północy rozległo się stukanie do drzwi. Pierwsza przebudziła się jego żona, która też miała pokój, najbliżej drzwi położony, zobaczywszy zaś kilku ludzi, obudziła męża, który spał w trzecim pokoju. Markel poznał, co się święci, jednakowoż tak drżał ze strachu, że nie wiedział, co ma robić; dopiero żona zaprowadziła go do okna pokoju dziecinnego, położonego między pokojem jej i jego, tu otworzyła okno, wychodzące na ogród, lecz zaledwie burmistrz wysadził jedną nogę, usłyszał wołanie Kapuścińskiego, który też w tej samej chwili przesadził z podwórza parkan, wpadł do ogrodu i znalazł się tuż pod oknem, a wobec tego burmistrz cofnął się do pokoju.

Wśród tego dwaj inni, t. j. Siekirski i Leon Szumański, pozostawiwszy Góreckiego na straży w podwórzu, gdzie też znajdowała się i kuchnia, wleźli przez okno i dostali się do pokoju Marklowej, tu kazali jej zaświecić; wśród tego nadszedł tam i Kapuściński. Drzwi do drugiego pokoju, w którym właśnie Markel się znajdował, były zamknięte, wtedy dla postrachu wystrzelili dwa razy z pistoletów do nich, a potem je wyważyli. Dostawszy się w ten sposób do pokoju, gdzie burmistrz się znajdował, wyprowadzili go stamtąd, bijąc i szturkając, na podwórze, gdzie go Górecki pchnął piką. Markel jeszcze w otoczeniu powstańców doszedł przez podwórze do kuchni, i tu na progu padł.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach scena zamordowania Markla. (Dok. nast.)

Bronisław Pawłowski.

Muzeum sztuki huculskiej.

Szczęśliwą myśl podniósł autor artykułu pt. „Wystawa przemysłu huculskiego“ w „Przemysłowcu“ z d. 2. lipca br. Uważa on za niezbędne urządzenie muzeum na miejscu, „w którem znalazłyby pomieszczenie cenne i charakterystyczne wyroby“. Myśl to szczęśliwa a zarazem uważamy ją za niezbyt trudną do urzeczywistnienia, byleby uznano, że obowiązkiem społeczeństwa jest zachowanie cech charakterystycz-

nych ludu, zamieszkującego kraj nasz i byleby nie żądano od ludu naszego wytwarzania w wielkiej liczbie przedmiotów handlu, na których mogliby zarabiać przedsiębiorcy, zmieniając w ten sposób powoli przedmioty artystyczne w tandetę, przeznaczoną do spekulacji. Wystawa huculska w Kossowie przekonała nas już, że artyzm wśród ludu huculskiego zanika coraz bardziej, nie mogąc wytrzymać konkurencji z wyrobami fabryk i szkół, które wyrosły wprawdzie na wzorach ludowych, jednakże daleko od tych wzorów odbiegły, a przywłaszczając sobie nazwę „huculskich“, wydzierają środki do życia samym twórcom miejscowego przemysłu. Muzeum więc huculskie, założone na miejscu t. j. w samej huculszczyźnie, lub najbliższej okolicy, musiałoby poniekąd wziąć na siebie rolę szkoły, przechowując wzory czystej sztuki ludowej, nie zepsutej jeszcze fabryką i szkołą i mogłoby wpływać korzystnie na kierunek szkół takich, jak garncarska, lub przemysłu drzewnego w Kołomyji, lub tkacka w Kossowie, przez przypominanie im wzorów, na których wzrosły. Ważniejsze jednak zadanie, niż przechowywanie w czystości wzorów ludowych, spełniałoby muzeum takie przez obznajamianie szerszej publiczności z artystami ludowymi, gdyż w ten sposób danoby może wielu rodzinom huculskim środki do życia, nabywając ich dzieła i ustrzeżonoby je od nędzy, grożącej całej ludności. Niezbyt to dawne czasy, kiedy huculi uprawiali rzemiosła i sztukę po dyletancku, a środki do życia dawała im hodowla bydła, prowadzona na wielką skalę na znacznych obszarach, których byli właścicielami. Wyzyskiwani ustawicznie przez obce żywioły, chwycili się rzemiosł, graniczących z artyzmem, co spowodowało wzrost dotychczas kilku zaledwie rodzin, gdyż całe gałęzie przemysłu domowego, które mogły przynosić znaczniejszy dochód, wzięli w swe ręce obcy przybysze, traktując je na sposób fabryczny — dość wspomnieć wyroby skórzane, lub toporki, sprzedawane w sklepach kossowskich.

Sądzimy, że muzeum takie mogłoby rozbudzić zamiłowanie do rzemiosł i sztuki miedzy samymi hucułami i że z tych powodów należałoby zarząd jego oddać w ręce ludzi, znających gruntownie sztukę ludową, ażeby położyć koniec psuciu jej przez liche obce wzory. Jednem z ważniejszych zadań takiego muzeum mogłoby być obznajamianie huculów z ulepszonemi narzędziami rzemieślniczemi, gdyż postępowanie takie wydało już dotychczas świetne rezultaty w niektórych gałęziach przemysłu, zawsze jednak z tem zastrzeżeniem, że mają to być tylko środki. ułatwiające im wykonywanie własnych i oryginalnych pomysłów, bez zabijania ducha, jak to czynią fabryki i szkoły.

Co do miejsca, w którem muzeum huculskie mogłoby być założonem, to sądzimy, że najodpowiedniejszem miastem byłaby Kołomyja. W samej huculszczyźnie nie ma chyba ani jednego miasta tak wielkiego, ażeby muzeum takie liczyć mogło na powodzenie — w większem zaś oddaleniu od huculszczyzny zatraciłoby łatwo charakter huculski, gdyż zarząd nie mógłby się bezpośrednio stykać z ludnością. Wystawa w Kossowie wykazała, że w krótkim przeciągu czasu i bez żadnego przygotowania (przedmiotów robionych specjalnie na wystawę nie było) można zebrać znaczny materjał do znajomości sztuki ludowej, a kraj nie powinien się obawiać kosztów na cel, który cały odłam ludności wraz z dziełami jego ducha może uchronić od zagłady.

Dr. M. Grochowski.

Z obcej niwy.

Po świetnym okresie powieści rosyjskiej, którą przedstawiali Turgeniew, Gonczarów, Dostojewski, Tołstoj, nastąpiło pewne omdlenie twórczości w tym kraju. Pisarze późniejsi, jak Gleb Uspieński, Złatowratski i inni byli to raczej wytrawni publicyści, którzy swoje tendencje chłopomańskie przybierali w szaty powieści, nie zaś artyści. Dopiero zwolna wydobywać się zaczęli nowi ludzie koło r. 1880 i później. Zdaje się jednakże, że dni wielkich czterotomowych powieści, jak „Anna Karenina“, „Wojna i pokój“, „Bracia Karamazowy“, przeminęły; nowi autorzy odrodzili formę, która niegdyś miała znaczne powodzenie, a która ostatnimi czasy wyszła z mody, mianowicie nowelę.

W noweli dzisiejszej mamy syntezę wszystkich cech i właściwości poprzedniej powieści rosyjskiej i przytem nieraz spotykamy w niej akcenty nie mniej głębokie, jak w Dostojewskim lub Tołstoju. Pisarze tacy jak: Barancewicz, Albow, Czyrykow, Bunin, Garszyn, Czechow, Korolenko, wreszcie i nadewszystko Maksym Gorkij, tworzą koło bardzo znamienne i bardzo wybitne. Nie o wszystkich zamierzam tu mówić; niektórzy dają mało tonów oryginalnych (Albow, Barancewicz); inni zbyt niedawno wystąpili i nie można ich jeszcze należycie określić (Czyrykow, Bunin), natomiast bardzo wyraźne, oryginalne i silne fizjonomje przedstawiają: Garszyn, Czechow, Korolenko,

Gorkij. Czterej ci pisarze mają pewne pokrewieństwo duchowe z grupą złotego okresu literatury rosyjskiej.

Garszyn, jak Turgeniew, jest pisarzem najbardziej europejskim śród Rosjan. Rzecz bowiem godna uwagi, literatura rosyjska do dziś może być określona słowami Juljusza Słowackiego, że „pachnie surowem mięsem“. Przy tej surowości, odznacza się ona razem głębią psychologiczną, tylko Norwegja może z nią wytrzymać porównanie. Nie da się zaprzeczyć, że jest to literatura półbarbarzyńska; ma ona świeżość i siłę ludów półbarbarzyńskich, ich samoistność i śmiałość, bardzo niedawne są jej tradycje, gdyż literatura ta powstała ledwie w r. 1820 i datuje się od Puszkina, może zresztą liczyć ją wypada od Kryłowa, bajkopisarza. Ma ona w sobie coś z konia stepowego, rzuca się gwałtownie, pędzi w jakieś nieznane i niezbadane przestrzenie, wije się w szalonej i bezgranicznej tęsknocie i nakoniec pada zmęczona, bezsilna, pełna rozpaczy i niewiadomości, co ma czynić, dokąd iść, czego pragnąć... Jakaś bezdenna melancholja jest tłem i duszą tej literatury. Smutek barbarzyńcy, który dookoła widzi nieskończone n i h i l.

Śród tych barbarzyńców, zdarza się czasami wytworny „bojaryn“, europejczyk, jak Turgeniew, artysta wielkiej miary. Podobnie artystą i europejczykiem był Antoni Czechow.

Antoni Czechow, ur. 1860 r., pochodził z Taganrogu. Skończył medycynę w Moskwie, ale już w uniwersytecie zaczął pisać fejletony głównie do pism humorystycznych. W r. 1887 zebrał je w dwa tomy p. t. O p o w i a d a n i a p s t r e i O z m r o k u, a w r. 1890 P o c h m u r n i l u d z i e. Był on ulubieńcem publiczności i niektórzy zowią go rosyjskim Guy de Maupassantem. Przy całym humorze autor ma pogląd na świat bardzo smutny; Skabiczewskij zarzuca mu pesymizm i nadmiar goryczy, słuszniejszą jednak wydaje mi się opinja Stolarowa. Krytyk ten bardzo umiejętnie wykazał jedność idei, która przenika wszystkie nowele Czechowa; autor do swoich nowel bierze zazwyczaj najprostsze wypadki, to, co sam widział, obserwował, nigdy nie szuka nadzwyczajności, owszem mamy tu zawsze jakieś zdarzenia bardzo powszednie, bardzo codzienne. Oświetlenie jednak tych zdarzeń, prawie nigdy ściśle nie wyrażone, Czechow podsuwa czytelnikowi, wykazując wszędzie jedno i to samo, że ludzie w stosunkach swoich zwracają uwagę nie na to, na co powinni i pierwszorzędne znaczenie przypisują rzeczom, które w istocie nie mają wielkiego znaczenia, a zamykają oczy na to, coby ich mogło rzeczywiście zbliżyć i co wskazuje na istotny sens życia. Najczęściej patrzą oni na wszystko nie swojemi oczami i na wszystko mają odpowiednie formy. Formalizm i konwencjonalizm życiowy, oto główny przedmiot ironji Czechowa; a jest to powszechna trucizna dusz ludzkich, zbyt leniwych, aby sięgnąć do istoty zjawisk, a którym wystarcza formalne postrzeganie powierzchowności stosunków życiowych. Rozpatrzymy to na przykładach. P a s a ż e r I-s z e j k l a s y opowiada taką historję. Inżynier Krykunow, jadąc wagonem, rozmawia na temat tego formalizmu. Zbudował on wspaniały most i na uroczystość jego otwarcia zebrała się gromada ludzi, okazało się, że nikt o nim, o Krykunowie, nic nie wie, że ten most nikogo nie obchodzi, ale śpiewaczka, z którą żył inżynier, obecna na uroczystości, zwracała powszechną uwagę i właściwie nią się głównie zajmowano. Najlepszą przecie illustracją tej formalistyczności jest fakt, że kiedy współtowarzysz drogi, profesor Puszkow, znakomity uczony, powiedział Krykunowowi swe nazwisko, ten nic o nim nie wiedział, choć znał imiona sławniejszych koni wyścigowych. (C. d. n.)

A. Wrzesień.

EDMUND LIBAŃSKI.

Technika walk podmorskich.

(Ciąg dalszy.)

Ważną datą w dziejach rozwoju nowoczesnej floty „Nautilusów“ stanowi r. 1886. W roku tym zbudowali na życzenie rządu francuskiego inżynierowie Goubet i Zédé dwie łodzie podmorskie — każda z nich jest typem o odmiennej konstrukcji.

Statek Goubeta — to typ łodzi spuszczanej w razie potrzeby na i pod wodę z pokładu pancernika, Zédé zaś zbudował statek samodzielny o możliwie największym zakresie działania.

Statki Goubeta i Zédégo stały się niejako wytycznymi dla późniejszych innowatorów i z każdym niemal rokiem jawiły się doniosłe ulepszenia.

Przekrój statku Goubeta i urządzenie wewnętrzne przedstawia rycina 3.

Długość tegoż wynosiła 8 m, siły motoryczne na 14 godzinną jazdę dostarczały akumulatory a zapas ściśnionego powietrza wystarczał do oddychania dla dwóch ludzi załogi na cały ten czas. Oryginalnie pomyślaną była tutaj śruba przesuwalna w rozmaitym kierunku i zastępująca w ogólności ster.

Stalowy „Nautilus“ Goubeta poruszać się może w wodzie tak jak ryba, nie tylko w prawo i lewo ale także w górę i w dół.

Na ryc. 3. mamy po prawej stronie całe urządzenie śruby i steru, po lewej urządzenie do lansowania torpedy. U dołu znajdują się komory wodne, regulujące wznoszenie lub zapadanie statku, w środku ustawione są wspomniane już powyżej pompy ssąco-tłoczące utrzymujące równowagę.

Wahania przytem tylko ograniczają się na 4 do 5 cm.

Jakkolwiek statek Goubeta zaznaczył olbrzymi krok naprzód, Francja nie zadowoliła się pięknymi rezultatami prób w Cherbourgu w r. 1890.

Sam Goubet spostrzegł wadliwości i niedoskonałości swego pierwszego „Nautilusa“, przedewszystkiem nadzwyczajnie krępujące usadowienie obu ludzi załogi i zbudował w niedługim czasie drugi „Bateau Poisson“ (statek rybi) z napisem Goubet II., w którym dokonał pewnych ulepszeń.

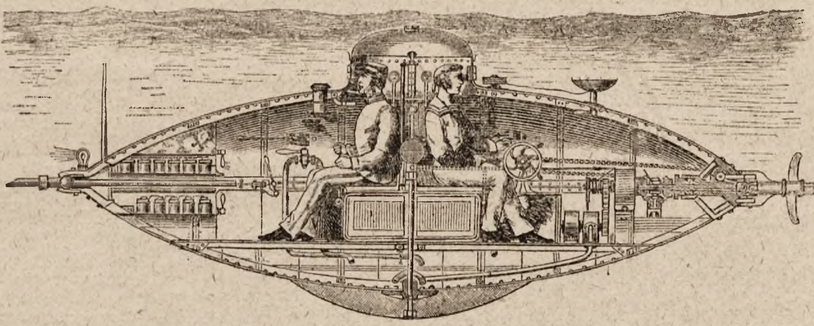
na zewnątrz, lub też bywają wchłonięte przez chemikalja umieszczone w specjalnych zbiornikach. Niedawno temu sporządził francuski uczony, T. Joubert, nowy preparat: oxilit, przy pomocy którego można w zamkniętych przestrzeniach wytwarzać szybko i wygodnie świeże powietrze.

Wrażenia podczas takiej jazdy podmorskiej są bardzo niezwykłe. Oto jak je opisuje uczestnik podróży statku Morsé:

Miejsce było bardzo szczupłe, pasażerowie usiąść musieli obok komendanta statku, by nie przeszkadzać czynnościom załogi, złożonej z 12 osób.

Gdy rozległ się rozkaz zamknięcia wszystkich wejść i otworów, rozkaz puszczenia w ruch motorów, przeszedł wszystkich mimowolny dreszcz...

Nie był to dreszcz obawy niebezpieczeństwa: „Morsé“ od miesięcy odbywał podróże podmorskie bez szwanku — ale było to dziwne uczucie, jakie człowieka ogarnia przed głębiami oceanu. Te bezdnie wody pochłonęły tyle ofiar, tyle tam w głębi



Ryc. 3. PRZEKRÓJ STATKU PODWODNEGO GOUBET I.

Uniezależnił w nim ruchy poziome, boczne od ruchów w kierunku pionowym, uzyskał większą szybkość. I statek ten w następnym roku zakupiła Anglja ku senzacji kół wojskowych Francji, albowiem do tego czasu zachowywali się Anglicy wobec statków podwodnych wyczekująco.

Statki Goubeta nie zaspokoiły jednak wymagań marynarki wojennej i już w następnych latach budowała Francja nowe statki podwodne pomysłu inżyniera Gustawa Zédé.

Jakżeż się przedstawia kwestja pobytu w takiej łusce stalowej? Pierwsza próba wywiera zazwyczaj przykre, niepokojące wrażenia na załogę, później staje się to sprawą przyzwyczajenia a to tem bardziej, iż rozwój techniki dzisiejszej zdobywa wiele środków dla udogodnienia pobytu w warunkach zupełnie bezpiecznych dla zdrowia.

Aparaty ze ścieśnionem powietrzem, lub też z czystym wolnie wypuszczanym tlenem umożliwiają normalne oddychanie a szkodliwe gazy wytłacza się

grozy i tajemnic i nagle człowiek ośmiela się tam wtargnąć, ośmiela się zapuszczać wzrok badawczy w ten fantastyczny świat legend, strachów i odwiecznych mroków. Zapadanie w ten świat podwodny, budzący w umyśle widmo śmierci — mimowoli wywołuje lęk odruchowy... dreszcz!

Komory wodne statku napełniały się wodą, wypychane powietrze przechodziło do wnętrza statku, w przeciągu 70 sekund „Morsé“ był 6 mtr. pod zwierciadłem fal; żaden pocisk już go tam nie mógł doścignąć.

Przed oknami kajuty zdawało się, że zapada szmaragdowy zmierzch, ciemniejąc coraz bardziej, w coraz gęstszym mroku, aż przemienił się w nieprzebitą czarną noc.

W tem państwie podwodnem panuje głuche, głębokie milczenie i noc... noc wieczna! — Żaden głos tam nie dochodzi, nie przedrze się tam żaden promyk światła — podróżnym, zamkniętym w tej sztucznej, stalowej rybie, zdaje się, że niema już

słońca, niema już hałaśliwego, barwnego świata, że zamarł i przepadł zgiełk życia.

Aparaty funkcjonują precyzyjnie, jak gdyby miały duszę, odczuwającą bicie serc i myśli tych ludzi; akumulatory odbijają od tła ścian, jak oprawne księgi bibljoteki — to one dają siłę, nadają ruch całemu ciału żelaznemu, z nich przepływa krew do sztucznego organizmu statku. Odświeżanie zamkniętego powietrza odbywa się regularnie, wszyscy mogą oddychać swobodnie...

Tajemniczy „peryskop“ pokazuje, że po dwugodzinnej jeździe cel osiągnięty, zbliżano się do okrętu wojennego „Narval“, powiewają flagą — to znak dla wypłynięcia w górę.

Jak gdyby bańka powietrza, sunie ku górze stalowy korpus z podróżnymi, z tej otchłani nocy i wiecznego milczenia, do światła, jasności i życia, na fale czarującego morza, kąpiące się w złotych blaskach dnia.

Okrzyk radości i serdecznego powitania grzmi z pokładu majestatycznego pancernika, gdy żelazne łuski „Morsé“ wyłaniają się z tajemniczej topieli...

(Dok. nast.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Z pola walki.* Londyn 1904. Pod tym tytułem wydała Polska partja socjalistyczna zbiór wspomnień i sprawozdań o pierwszych procesach socjalistów w Pradze, jako też o zawiązkach organizacji robotniczej. Uwzględniono wszystkie trzy zabory, lecz najobszerniej opisano krakowski proces Waryńskiego i spólników w r. 1880 i proces „Proletarjatu“ w Warszawie w r. 1885. Jakkolwiek w przedstawieniu sprawy znajduje się dość luk i przemilczeń, to jednak po przeczytaniu tego zbiorku można sobie wcale dokładnie odtworzyć najważniejsze szczegóły konspiracji. Wydawcy zapowiadają dalsze uzupełnienia.

Über den sogenannten Weichselzopf. Von dr. med. Władysław Neumann, pract. Arzt in Neuenburg Wpr. Leipzig 1904, str. 69 8°.

W rozprawie powyższej wznowił dr. Neumann z Nowego w Prusach zachodnich dawny spór naukowy co do przyrody kołtuna i wbrew utartemu obecnie poglądowi, który uważa kołtuna za następstwo niechlujstwa i nieczesania włosów, uznaje samoistną chorobę kołtuna, polegającą na schorzeniu nerwu współczulnego i błędnego, a przejawiającą się wielu ciężkiemi przypadłościami, między innemi zaś także skręcaniem się włosów w kołtun. Od tego kołtuna, jako objawu chorobowego, odróżnia autor kołtun, sztucznie wyhodowany wskutek niechlujstwa lub z przesądu.

Kwestja jest u nas aktualna i ze stanowiska kulturalnego i ze stanowiska zdrowotnego, gdyż kołtun w niektórych okolicach Polski grasuje śród ludności, a w obrębie jednej tylko regencji poznańskiej notuje statystyka urzędowa z r. 1900 aż 2507 osób, dotkniętych kołtunem.

Autor na podstawie gruntownych studjów i rozległej własnej obserwacji zarzuca, że wykreślono kołtun z rzędu chorób w czasie, gdy nauka nie zdawała sobie jeszcze sprawy z różnych zboczeń odżywczych tworów skórnych, wywołanych chorobami nerwowemi i żąda w interesie cierpiących, by sprawę kołtuna poddano ponownie ścisłej rewizji naukowej.

Ciekawe są historyczne wywody autora o pochodzeniu nazwy niemieckiej „Weichselzopf“ i późniejszej „plica polonica“, a nadającej chorobie kołtunowej znaczenie specjalne, polskiego pochodzenia. Otóż autor dowodzi przy pomocy źródeł niemieckich, że nazwa „Weichselzopf“ wytworzyła się z nazwy „Wichtelzopf“, co w starej niemczyźnie oznaczało „warkocz karlików“, miano bowiem „Wichtel“ określa w mitologji niemieckiej karłów, (stąd „Wichtelgebirge“ zmienione później na „Fichtelgebirge“). Podobnie polska nazwa „kołtun“ wywodzi się od wyrazu „kołtki“, które w mitologji słowiańskiej oznaczały domowych duchów. Obie zaś nazwy, tak niemiecka, jak polska, świadczą, że kołtun był znany śród Germanów i Słowian jeszcze w czasach przedhistorycznych pogańskich, nie można więc mówić o pierwszeństwie pod tym względem ani Słowian, ani Niemców, jakkolwiek badacze niemieccy, jak Rosenbaum i Grimm, Niemcy za pierwotną ojczyznę kołtuna uważali i jakkolwiek według ich zdania, dopiero z Niemiec kołtun przedostał się na Litwę, do Polski i do innych krajów słowiańskich.

W całem dziełku dr. Neumanna znać wielkie oczytanie w literaturze, odnoszącej się do kołtuna, a kto się tym przedmiotem interesuje znajdzie w tej rozprawie wiele zajmujących szczegółów.

NOTATKI. *Dom Petrarki.* Jakkolwiek 600-tna rocznica urodzin Petrarki obchodzona była w jego mieście rodzinnem, Arezzo, niemniej nie zapomniano i o mieście Arqua, gdzie wieszcz nieśmiertelny spędził ostatnie lata życia i dokonał dni swoich.

Petrarka przybył w r. 1369 do Arqua na pobyt letni, a ponieważ położenie miejscowości i klimat podobały mu się, przeto postanowił tam zamieszkać i wybudował sobie w r. 1370 mały domek. W domku tym, malowniczo położonym śród winnic i plantacji oliwkowych, zmarł poeta w nocy z 18. na 19. lipca 1374 r., na dzień przed ukończeniem lat 70-ciu. Dom odziedziczył zięć jego, Francesco da Brossano; następnie przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie kardynał Pietro Silvestri podarował go w r. 1875 Padwie, której władze miejskie utrzymują domek starannie i pozwalają go zwiedzać. Sprzętów w nim już niewiele, — stare krzesło i szafa, które stoją za szkłem; na ścianie wiszą, również pod szkłem, dwie, ołówkiem napisane, tercyny Vittoria Alfieriego; wreszcie jest w tym domku mumja kota Petrarki. Kot ten był ulubieńcem wieszcza; w kilka dni po jego zgonie, zięć kazał kota zabić i zabalsamować. Antonio Quarengo poświęcił kotowi temu epigramat łaciński, a Niccolo Tommaseo, w książce swojej „Wspomnienia ze wzgórz Euganejskich“ napisał, nie bez słuszności, że zmumifikowany kot budzi u wielu odwiedzających domek większe zajęcie, niż wszystkie dzieła Petrarki.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.